

MIĘDZYNARODOWY BESTSELLER

DOM Z LIŚCI



MARK Z. DANIELEWSKI

Powieść

Ta książka to literacka bestia. Olśniewająca.
„THE WASHINGTON POST”

Jedna z najbardziej ambitnych, pomysłowych
i wyczekiwanym powieści tego roku. *Dom z liści*
nie przypomina niczego, co do tej pory czytaliście.
„NEWSWEEK”

To książka otoczona kultem. Uległem jej,
jak wielu przede mną.
JAKE THOMAS, GOODREADS

Mistrzowski horror i immersyjne doświadczenie
czytelnicze, które wciąga niczym labirynt.
MICHIKO KAKUTANI, „THE NEW YORK TIMES”

Mark Z. Danielewski celowo gra z konwencją
horroru: nie znajdziecie tu zdemaskowanego
potwora, żadnych duchów, żadnych złośliwych
istot pozaziemskich. Jest tylko *DOM*.
„THE GUARDIAN”

Dom z liści

MARKA Z. DANIELEWSKIEGO

Dom z liści

autorstwa

Zampanò

wstępem i przypisami opatrzył

Johnny Wagabunda

z angielskiego przełożył

Wojciech Szypuła

JEDNYM SŁOWEM

znak

Kraków 2024

[Kup książkę](#)

Tytuł oryginału: *House of Leaves*
Copyright © 2000 by Mark Z. Danielewski. All rights reserved.
Copyright © for the translation by Wojciech Szypuła
Copyright © for the Polish edition by SIW Znak sp. z o.o., 2024
Podziękowania, informacje o autorach ilustracji i źródła cytatów znajdują się na stronach 759–760.

Projekt okładki: Eric Fuentecilla
Adaptacja okładki: Karolina Korbut
Wydawczyni: Olga Orzeł-Wargskog
Redaktorki prowadzące: Dorota Trzcinka, Adrianna Kapelak
Opieka redakcyjna: Sabina Wojtasiak, Sylwia Stojak
Korekta: Kinga Kosiba, Magdalena Wołoszyn-Cępa | Oblędnie Bezbłędnie, Anna Strożek
Indeks: Kinga Kosiba
Łamanie: DAKA – Studio Graficzne Dawid Kwoka
Opieka promocyjna: Marta Greczka

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak
ul. Kościuszki 37
30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569
e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

ISBN 978-83-8367-147-5

Wydanie I, Kraków 2024

Ta powieść jest dziełem fikcji. Wszelkie odwołania do prawdziwych ludzi, wydarzeń, instytucji, organizacji lub miejsc mają na celu jedynie nadanie fabule charakteru realności i autentyczności. Pozostałe imiona, postacie i zdarzenia są wytworem wyobraźni autora lub zostały użyte w fikcyjnym kontekście. To samo dotyczy fabularyzowanych zdarzeń, które są związane z prawdziwymi osobami, ale które nie miały miejsca lub których akcja rozgrywa się w przyszłości.

Uwaga o niniejszym wydaniu

Pełnokolorowe

- Słowo **dom** na niebiesko; **minotaur** i **przekreślenia** na czerwono.
- Jedyne przekreślenie w rozdziale XXI na fioletowo.
- Xxxxxxx i kolorowe strony.

Dwukolorowe

- Również **dom** na niebiesko oraz **przekreślenia** i **minotaur** na czerwono.
- Brak Braille'a.
- Kolorowe lub czarno-białe strony.

Czarno-białe

- Brak osobnych kolorów dla słów **dom**, **minotaur** oraz **przekreśleni**.
- Brak Braille'a.
- Czarno-białe strony.

Niekompletne

- Brak kolorów.
- Brak Braille'a.
- Możliwy brak elementów w załącznikach, dodatkach i indeksie.

Kup książkę

SPIS TREŚCI

Przedmowa	vii
Wstęp	xi
Relacja Navidsona	1
Załączniki Jeden-Sześć	577
Dodatek: Zampanò	585
A. – Plan i tytuły rozdziałów	586
B. – Skrawki	589
C. – ...i okrawki	598
D. – List do redakcji	603
E. – „Pieśń o Quesadzie i Molino”	605
F. – Wiersze	607
Dodatek II: Johnny Wagabunda	617
A. – Szkice i polaroidy	618
B. – Pelikan: wiersze	623
C. – Kolaże	631
D. – Nekrolog	634
E. – Listy z Three Attic Whalestoe Institute	636
F. – Cytaty różne	689
Dodatek III: Świadcstwa przeciwne	703
Index	709
Podziękowania	759
Yggdrasil	763

PRZEDMOWA

Pierwsze wydanie [Domu z liści](#) było rozpowszechniane prywatnie i nie zawierało rozdziału XXI, Dodatku II, Dodatku III oraz indeksu. Dołożyliśmy wszelkich starań, by załączyć wszystkie niezbędne przekłady i precyzyjnie wskazać ich źródła; jeżeli w tym zakresie zawiedliśmy, z góry przepraszamy. W kolejnych wydaniach z przyjemnością poprawimy wszelkie omyłki i niedociągnięcia, na które Czytelnicy zwrócą naszą uwagę.

– Wydawca

To nie jest dla ciebie.

Wstęp

Nadal miewam koszmary. Prawdę mówiąc, śnią mi się tak często, że powinienem był się do nich przyzwyczaić. Nie przyzwyczaiałem się. Do koszmarów nie można się przyzwyczaić.

Przez pewien czas próbowałem wszelkich możliwych pigułek, brałem wszystko, żeby tylko okiełznać swój strach. Excedrin PM, melatonina, L-tryptofan, valium, vicodin, długa lista barbituranów – nieraz wymieszanych, często łączonych jeszcze z bourbonem, zdzierającym płuca sztachnięciem z bongosa, czasem nawet z oparami kokainowego tripu. Nic nie pomagało. Mogę chyba śmiało stwierdzić, że nie istnieje jeszcze laboratorium dostatecznie wyrafinowane, żeby dało się w nim zsyntetyzować potrzebne mi chemikalia. Kto wynajdzie takie cudo, ma murowanego Nobla.

Jestem bardzo zmęczony. Nie pamiętam już, od jak dawna dręczy mnie senność. W końcu sen mnie dopadnie, to nieuniknione. Niestety, perspektywa zaśnięcia wcale mnie nie zachwyca. Mówię „niestety”, ponieważ kiedyś naprawdę lubiłem spać. Właściwie cały czas spałem. Do czasu, aż mój przyjaciel Lude obudził mnie o trzeciej nad ranem, prosząc, bym do niego wpadł. Kto wie, może gdybym nie usłyszał wtedy dzwonka telefonu, wszystko wyglądałoby dziś inaczej? Często o tym myślę.

Prawdę mówiąc, Lude powiedział mi o tym starszym panu mniej więcej miesiąc wcześniej, nim zadzwonił do mnie w tamtą brzemenną przeznaczeniem noc (Czy to o to chodzi? Przeznaczenie? Bo poza tym noc była raczej pusta. A może nie?). Gorączkowo poszukiwałem wówczas nowego mieszkania, miałem bowiem mały kłopot z moim dotychczasowym gospodarzem, który pewnego dnia obudził się i stwierdził, że jest Charles'em de Gaulle'em. Byłem tak oszołomiony tą konstatacją, że zanim zdążyłem dobrze pomyśleć, przyznałem się, iż moim skromnym zdaniem w niczym nie przypomina portu lotniczego, aczkolwiek pomysł posadzenia na nim boeinga 757 wcale nie jest mi niemiły. Wyrzucił mnie bez zbędnej zwłoki. Mogłem próbować stawić opór, lecz jego lokum i tak przypominało

dom wariatów, wyniosłem się więc stamtąd z przyjemnością. Jak się okazało, tydzień później Chuckie de Gaulle spalił swój dom. Policjantom tłumaczył, że uderzył w niego spadający 757.

Przez następne tygodnie koczowałem u różnych znajomych od Santa Monica po Silverlake, cały czas szukając sobie nowego kąta, i wtedy właśnie Lude powiedział mi o mieszkającym u niego w budynku starszym panu, który zajmował mieszkanie na parterze z widokiem na szerokie zarośnięte podwórko. Podobno powiedział Lude'owi, że niedługo umrze. Nie zaprzętałem sobie nim specjalnie głowy; nie był to może tekst, o którym łatwo zapomnieć, ale wtedy doszedłem po prostu do wniosku, że Lude sobie ze mnie kpi. Zawsze lubił przesadzać. W końcu znalazłem kawalerkę w Hollywood i wpadłem w otępiającą rutynę codzienności pomocnika w salonie tatuażu.

Był koniec roku dziewięćdziesiątego szóstego. Noce były zimne. Dochodziłem do siebie po zerwaniu z niejaką Clarą English, która wyjaśniła mi, że wolałaby spotykać się z kimś ze szczytu łańcucha pokarmowego. Niesłabnącą wierność jej pamięci zademonstrowałem poprzez natychmiastowe i beznadziejne zabijanie się w striptizerce z Thumperem wytatuowanym tuż pod linią stringów, dosłownie o centymetr od wygolonej cipki – albo, jak lubiła ją nazywać, Najszczęśliwszego Miejsca na Ziemi. Dość powiedzieć, że ostatnie godziny starego roku spędziliśmy z Lude'em sami, szukając nowych barów i nowych twarzy, jeżdżąc jak wariaci po wąwozach i próbując przegadać nocne niebo całą masą bzdur. To nam się nie udało. Przegadanie go, znaczy się.

A potem starszy pan zmarł.

Dziś mogę w zasadzie stwierdzić: był Amerykaninem. Jak się później dowiedziałem, ludzie, którzy z nim pracowali, twierdzili, że mówił z lekkim obcym akcentem, chociaż nie umieli go precyzyjnie umiejscowić.

Nazywał się Zampanò. Takie nazwisko wpisał w umowie najmu i paru innych papierach, na które natrafiłem. Nie znalazłem żadnego dokumentu, który potwierdzałby jego tożsamość – paszportu, prawa jazdy ani innego oficjalnego poświadczenia, że tak, mam do czynienia z Naprawdę Istniejącą Osobą.

Nikt nie wie, skąd wzięło się to nazwisko. Może jest prawdziwe, może zmyślane, a może zapożyczone; może to jego nom de plume, a może (to mój ulubiony pomysł) nom de guerre.

Lude twierdził, że Zampanò mieszkał w tym domu od wielu lat. Był odludkiem, ale codziennie rano i wieczorem wychodził pospacerować po podwórku – zapuszczonym, zarosniętym chwastami sięgającymi kolan i zamieszkanym podówczas przez ponad osiemdziesiąt bezdomnych kotów. Koty najwyraźniej za nim przepadały, bo chociaż nie przynosił im żadnych smakołyków, uwielbiały ocierać mu się o nogi, zanim czmychnęły z powrotem na środek pylistego placu.

Tak czy inaczej, Lude spędził noc w towarzystwie poznanej w salonie kobiety i dopiero po siódmej rano chwiejnym krokiem zatoczył się pod drzwi, gdzie (mimo potężnego kaca) natychmiast się zorientował, czego brakuje. Często wracał nad ranem i za każdym razem spotykał staruszkę, który albo sunął mozolnie po obwodzie zachwaszczonego podwórza, albo odpoczywał na spalonej słońcem ławeczce przed rozpoczęciem następnej rundki. Samotna matka, która codziennie wstawała o szóstej, również zauważyła nieobecność Zampanò. Poszła do pracy, Lude położył się spać, lecz kiedy zapadł zmierzch, a ich stary sąsiad wciąż się nie pojawiał, oboje poszli zawiadomić o tym Flaze'a, mieszkającego na miejscu zarządcę nieruchomości.

Flaze jest pół Latynosem, pół Samończykiem. Prawdziwy olbrzym, można by powiedzieć: metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sto dziesięć kilo wagi i ani grama tłuszczu. Gdy tylko jacyś wandy, ćpuny i tym podobni zapuszczają się w pobliże budynku, Flaze rzuca się na nich jak pitbulterier wychowany przez handlarzy koki. Wcale jednak nie uważa, że rozmiary i siła są receptą na wszystko. Jeżeli intruzi będą uzbrojeni, chętnie pokaże im swoją kolekcję broni i bynajmniej nie zawaha się pierwszy po nią sięgnąć – a jest szybszy niż Billy Kid. Ledwie jednak Lude podzielił się z nim obawami o los starszego pana, pitbulterier i Billy Kid zniknęli bez śladu. Nagle okazało się, że Flaze nie może znaleźć kluczy, zaczął coś mamrotać o telefonie do właściciela... Po dwudziestu minutach Lude, który miał serdecznie dość jego jakaniny, zaproponował, że sam się wszystkim zajmie. Klucze natychmiast się znalazły i Flaze z szerokim uśmiechem położył je na wyciągniętej dłoni Lude'a.

Flaze tłumaczył mi później, że nigdy przedtem nie widział trupa, a tu było oczywiste, że trup musi być, więc czuł się nieswojo.

- Wiedzieliśmy, co tam zastaniemy – mówił. -
Wiedzieliśmy, że facet nie żyje.

To niestety koniec bezpłatnego fragmentu. Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki.